

Uroczyste rozdanie nagród

XX Edycji Konkursu prac magisterskich im. Jana Józefa Lipskiego

Rozmowy z laureatami

Anna Moroz (wyróżnienie w Konkursie im. Jana Józefa Lipskiego)

autorka pracy

„Moją prawdą jest moja pamięć” – konflikt o pamięć zbiorową na przykładzie działalności Romualda Rajsa ps. „Bury”

przygotowanej pod kierunkiem prof. dr. hab. Piotra Glińskiego i obronionej na Wydziale Historyczno-Socjologicznym Uniwersytetu w Białymstoku.

T.Ż.: Czy mogłaby Pani przedstawić po krótku przedmiot swojej pracy, a więc działalność „Burego” i spór wokół jego osoby?

A.M.: Romuald Rajś ps. „Bury” to na Podlasiu osoba, która wzbudza ogromne kontrowersje. Większość społeczeństwa uważa go za bohatera, ale zdarzają się mniejsze grupy, dla których jest on zbrodniarzem. Zarzuca się mu pacyfikacje białoruskich wsi, które podobno kolaborowały z okupantem – władzami ludowymi. Sprawa pozostaje niejasna. Historycy potwierdzili jednak, że mniejszość białoruska nie współpracowała z komunistami przejmującymi władzę na polskich ziemiach.

Jak wygląda współczesna pamięć o postaci „Burego” – ta polska, IPN-owska, i ta białoruska?

Oficjalne stanowisko polskie jest prezentowane przez Instytut Pamięci Narodowej. Instytucja ta doprowadziła do umieszczenia tablicy pamiątkowej poświęconej „Buremu”, a jego samego zaliczono do grona „żołnierzy wyklętych”. Tablica znajduje się w Białymstoku, gdzie – należy o tym pamiętać – są tablice ku czci Białorusinów. Widzimy więc konflikt pamięci zbiorowej w przestrzeni publicznej.

Czy możliwa jest mediacja skonfliktowanych pamięci zbiorowych? Na czym mogłaby ona polegać?

Część białoruska zarzuca nierówne traktowanie ofiar poprzedniego systemu. Przypominają, że „Bury” otrzymał odszkodowanie, ale białoruskie ofiary już nie. Sprawą tą zajmują się różnego rodzaju stowarzyszenia i organizacje.

Spór generuje kolejne konflikty, które nie dogasają, ale ciągle wybuchają na nowo.

Monika Stobiecka (wyróżnienie w Konkursie im. Jana Józefa Lipskiego)

autorka pracy

Styl zakopiański. Nowa perspektywa badawcza

przygotowanej pod kierunkiem dr. hab. Waldemara Baraniewskiego i obronionej na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego

T.Ż.: Na czym polega inność Pani ujęcia stylu zakopiańskiego w porównaniu z tradycją badawczą?

M.S.: Staralam się wrócić do początku, do źródeł. W pismach Witkiewicza szukałam odpowiedzi na pytanie, jakie są fundamenty sposobu myślenia, który leży u podstaw stylu zakopiańskiego. Nowa perspektywa oznacza także zastosowanie narzędzi postkolonialnych.

Jakie były ideowe inspiracje Witkiewicza?

Ten styl przyszedł z Rosji a nie z Zachodu. Każdy badacz, który zajmuje się architekturą w Europie, musiał zauważyć podobieństwo do stylu ruskiego, staroruskiego. Co ciekawe, wcale się tego faktu nie podkreśla. Kiedy zajęłam się początkami Witkiewicza, jego studiami w Petersburgu, kontaktami z artystami stylu staroruskiego, oczywistym stał się dla mnie jego powrót do inspiracji ludowych.

Witkiewicz był zafascynowany Tołstojem, tłumaczył na gwarrę jego utwory. W literaturze przedmiotu Witkiewiczowi przypisuje się fascynację Zachodem, zachodnią filozofią. A jednak to jest jak myślę mniej znacząca część jego inspiracji.

Co dała Pani kwerenda prasowa? Do jakich źródeł prasowych z epoki należało sięgnąć?

Witkiewicz był zanurzony w środowisku Szkoły Głównej, przyjaźnił się z Prusem i Żeromskim, którzy śledzili postępy stylu i wspierali autora. Świadczy o tym korespondencja. Prasa była najsilniejszym narzędziem krzewienia tożsamości i pamięci w rozbiorowej Polsce. Środowisko warszawskie było w owym czasie wybitne, ale z powodu represji w zaborze rosyjskim nie było warunków do rozwijania narodowej architektury. W Krakowie inaczej.

Jak używa Pani perspektywy postkolonialnej do analizy stylu zakopiańskiego?

Narzędzia postkolonialne to wielkie wyzwanie. Staralam się potraktować je jako sposób analizy kulturowej, gdzie najważniejsze są figury lokalnego mieszkańca oraz innego, który przybywa z zewnątrz, ma większą wiedzę, jest bardziej ucywilizowany, penetruje otoczenie, wprowadza swoje prawa, obyczaje, kulturę. Przybycie Witkiewicza i warszawiaków do Zakopanego stworzyło idealne warunki do budowania stylu narodowego.

Krzysztof Stanisław Werner (wyróżnienie w Konkursie im. Jana Józefa Lipskiego)

autor pracy

Działalność Fun Clubu The Beatles w Lublinie w PRL-owskiej rzeczywistości lat 80-tych

przygotowanej pod kierunkiem dr. hab. Wojciecha Sokoła i obronionej Na Wydziale Politologii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

T.Ż.: Proszę powiedzieć kilka słów o przedmiocie swojej pracy – o lubelskim Fun-Clubie Beatlesów.

K.S.W.: Lubelski fun club powstał z inicjatywy mojego ojca. To była jego młodość. Słuchał tych utworów, często w przeróbkach węgierskich i rosyjskich. I z młodzieńczym zapałem stworzył ten fun club w ciężkich czasach, po zawieszeniu stanu wojennego. Działał w osiedlowym klubie, gdzie pod szyldem kółka zainteresowań można było prowadzić grupę miłośników muzyki. Wydawało się, że przyjdzie kilku wariatów posłuchać albumów i na tym

się skończy. Ale klub rozrastał się: najpierw na całe miasto, potem na Polskę i świat. Angażowało się coraz więcej osób, dzisiaj znanych.

Jak układały się stosunki klubu z PRL-em?

Działalność fun klubu dopasowywała się do realiów. Interpretowano przepisy tak, żeby można było działać. Nominalnie fun club nie był przeciwny systemowi. Wydawali własną gazetkę pod tytułem „Materiały ze spotkań”. Inne tytuły były potencjalnie wywrotowe, zagrażały władzy.

Jak badał Pan tę historię? Są dokumenty, ale prowadził Pan też wywiady. Z kim się Pan spotykał i czego się z tych rozmów dowiedział?

Kronika klubu i jego archiwum zawierają najważniejsze informacje i stanowiły podstawę mojej pracy. Prowadziłem też wywiady z ludźmi, którzy odwiedzali fun club. Byli wśród nich dziennikarze radiowi i telewizyjni. Odwiedzałem też członków fun klubu, którzy odnieśli sukces w dziedzinie „Beatles-manii”. Beatlesi łączą pokolenia, miłość do muzyki zdecydowała o temacie pracy. Rodzinne opowieści o fun clubie przyczyniły się do decyzji. Chciałem ocalić ten epizod od zapomnienia. To także była ważna motywacja.

Beata Koper (wyróżnienie ufundowane przez Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza w Konkursie im. Jana Józefa Lipskiego)

autorka pracy

Imiona własne migreny: Virginia Woolf”Virginia Woolf” i Eliza Orzeszkowa/Emilia Korczyńska

przygotowanej pod kierunkiem dr hab. Katarzyny Kuczyńskiej-Koschany i obronionej na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

T.Ż.: Jak traktuje Pani migrenę? Umieszcza ją Pani raczej w porządku historii kultury niż historii medycyny?

B.K.: Zainteresowałam się migreną kobieca – czymś, czym trzeba się zająć. Swoistym her-story. Również ze względu na to, że migrena jest przypadłością, na którą nie ma lekarstwa.

Jak ujmuje Pani her-storie migreny?

Mam świadomość, że her-story to nie jest narzędzie poprawne metodologicznie. To historie kobiet, które doznawały migreny, ale opowiedane z perspektywy mężczyzn, którzy są lekarzami i opisują kolejne przypadki. My sami opisujemy te historie po raz kolejny, z drugiej i trzeciej ręki i to jest błąd, którego mam świadomość.

Pisze pani o odzyskiwaniu kobiecego doświadczenia. Jak interpretuje Pani dolegliwości Emili Korczyńskiej?

Migrena nie jest przypadłością, jest gestem w sytuacji, gdy na salonach nie można znaleźć własnego miejsca. Mimo wszystko zaryzykowałabym stwierdzenie, że migrena jest elementem buntu, reakcją ciała na rzeczywistość, jak u Emilii Korczyńskiej.

Orzeszkowa sama doświadczała migreny, nawet w trakcie pisania *Nad Niemnem*. Ale to, co znajdujemy w listach, jest inne niż w powieści. Virginia bała się, że będzie postrzegana jako

szalona pisarka, dlatego ukrywała pewne elementy życia, w tym migrenę. Jej doświadczenia znamy z relacji innych.

Jakie jest miejsce Virginii Woolf w Pani pracy?

Migreny Virginii są traktowane jako przejaw szaleństwa, u Orzeszkowej tego nie ma. Jej własne doświadczenie jest odcięte od tego, co kreowała w powieści. Obie postaci łączą się gdzieś, ale nie możemy utożsamiać bohaterki literackiej z ich kreatorkami.

Karolina Gruca (wyróżnienie specjalne im Gajki Kuroniowej w Konkursie im. Jana Józefa Lipskiego)

autorka pracy

Wpływ mediów na kształtowanie debaty o związkach partnerskich – analiza dyskursu wybranych tygodników opinii

przygotowanej pod kierunkiem dr hab. Teresy Sasińskiej-Klas i obronionej na Wydziale Zarządzania i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego.

T.Ż.: Jak pisze się o związkach partnerskich w Polsce? Co wynika z przeprowadzonych przez Panią analiz ilościowych i jakościowych?

K.G.: Analizowałam tygodniki reprezentujące różne opcje światopoglądowe: „Wprost”, „Politykę”, „Newsweek”, „Do Rzeczy”, „Uważam Rze”, „Gościa Niedzielnego”. Przystępując do analizy spodziewałam się zupełnie innych rezultatów. Wyniki zaskoczyły mnie do pewnego stopnia. Tygodnik katolicki, mimo wyraźnej niechęci do idei związków partnerskich, przedstawiał argumenty merytoryczne, analizując projekty ustawodawstwa. Nie zastępował dyskusji historiami pojedynczych ludzi, tworząc tym samym powierzchowny obraz sytuacji. „Gość Niedzielny” najczęściej pisał o związkach. W prawicowych mediach temat pojawia się rzadko, teksty nie mają wartości merytorycznej. „Gość” na tym tle wypadł naprawdę dobrze.

Jak jest w pani ujęciu rola mediów w debacie publicznej w Polsce – przy tematach takich jak związki partnerskie?

Legalizacja związków jest kontrowersyjnym tematem. Polskie społeczeństwo nie jest gotowe do dyskusji. Media podają informacje selektywnie, nie tworzą zobiektywizowanych opinii, nie dają tym samym pola do myślenia. Przedstawiają jedynie własne racje, podchodzą powierzchownie, emocjonalnie.

Analizowała Pani nie tylko artykuły, ale i okładki tygodników. Powiedzialaby nam Pani trochę nich?

Związki partnerskie na okładkach to temat równie szeroki, co treści artykułów dotyczące tej sprawy. „Polityka” i „Wprost” bazują na emocjach, przedstawiają polityków, działaczy LGBT, Annę Grodzką i Roberta Biedronia, tęczę. Cały ten obraz jest powierzchowny, prześmiewczy. Chociaż z założenia w tekstach tytuły te broniły związków, okładki nie odzwierciedlały wagi problemów.

Marcin Kluczykowski (wyróżnienie specjalne im. Joanny Wiszniewicz w Konkursie im. Jana Józefa Lipskiego)

autor pracy

Magiczne marionetki – o figurach aktorów w twórczości Ingmara Bergmana

przygotowanej pod kierunkiem dr hab. Katarzyny Kuczyńskiej-Koschany i obronionej na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

T.Ż.: Dlaczego uznał pan, że figura aktora to klucz do twórczości Bergmana?

M.K.: Twórczość Bergmana jest tak bogata, że tak naprawdę można spojrzeć na nią z wielu stron. Ja spojrzałem od strony aktora. A wynika to z mojej fascynacji aktorami, którzy pojawiali się i grali u Bergmana. Aktorzy cyrkowi, teatralni, operowi, postaci najciekawsze, złożone. Przypomnę kluczową scenę w filmie *Persona*, gdzie główna bohaterka w trakcie kwestii milknie, wraca do domu. Milczy. Zaczyna się spektakl poza deskami teatralnymi, gdzieś w zaciszu, między nią a pielęgniarką. Nie jest to już sprawa indywidualna. To mnie zafascynowało, figura aktora nieoczywistego, przedstawienie go od strony milczenia, co pozbawia aktorstwo ważnych atrybutów.

Pana praca traktuje o zwierciadłach, zamknięciu, aktorach, którzy walczą, i marionetkach. Mógłby Pan przybliżyć nam te kategorie?

Próbowałem skoncentrować się na kilku filmach, które najpełniej pokazują zależność aktor – sobowtór. Interesowało mnie to, co pozwala zasugerować, że patrzmy nie tylko na postaci oddzielone od Bergmana, ale i na niego samego. Czytając jego dzienniki, autobiografię, można się o tym przekonać.

Motyw zwierciadła jest najważniejszą cechą jego filmów. Bergman słynie z takich scen, które wybrzmiewają nie tylko w kwestii aktorstwa. Często odgrywane są one przed lustrami. Przez odbicie reżyser próbuje pokazać sprzeciw wobec faktu, że to, co w środku, nie zgadza się z tym co na zewnątrz. To kreacja.

Stefan Kabat (nagroda II stopnia w Konkursie im. Jana Józefa Lipskiego)

autor pracy

Od pierwszego numeru do pierwszych wyborów. Środowisko „Dziś i Jutro” w latach 1945-47

przygotowanej pod kierunkiem prof. dr hab. Andrzeja Friszkego i obronionej na Politologii w Collegium Civitas.

T.Ż.: „Dziś i Jutro” kojarzone jest zwykle z Bolesławem Piaseckim. Czy środowisko skupione wokół pisma wywodziło się z przedwojennego ONR?

S.K.: Oczywiście, dla środowiska „Dziś i jutro” Piasecki jest postacią kluczową, która przez swoje życie, przez okres wojny była niekwestionowanym liderem tego kręgu. Pojawiały się jednak na łamach tygodnika inne postaci, jeszcze przed powstaniem stowarzyszenia PAX. Stefan Kisielewski czy Paweł Jasienica.

Jaką politykę prowadziło „Dziś i Jutro”? Jaki był stosunek tego środowiska do władzy?

Wąski zakres czasowy, raptem dwa lata to czas, kiedy tematy w piśmie były rozmaite. Polityka pojawiała się tam nader często. Jednak, wbrew powszechnym opiniom, było tam dużo tekstów krytycznych wobec władz ludowych. Autorzy i środowisko tygodnika wychodziło z założenia, że skoro porzucili las, porzucili wojnę, zrobią wszystko, by budować nową Polskę.

Dlaczego tak wąskie ramy czasowe?

1945 – 1947 dlatego, że pozwala to zrozumieć całość organizacji, jej postawy w późniejszym czasie, ale także spojrzeć wstecz, zobaczyć jej motywację i historię.

Maria Ferenc-Piotrowska (nagroda specjalna II stopnia Stowarzyszenia Otwarta Rzeczpospolita w Konkursie im. Jana Józefa Lipskiego)

autorka pracy

Przemiany relacji rodzinnych oraz sposobów funkcjonowania rodziny w sytuacji kryzysowej na podstawie świadectw i dokumentów osobistych z getta warszawskiego

przygotowanej pod kierunkiem prof. dr hab. Barbary Engelking i obronionej na Wydziale Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego.

T.Ż.: Swoją opowieść snuje pani chronologicznie – od września ‘39, do listopada ‘40, potem do lipca ‘42, wreszcie okres wysiedleń i czas po wysiedleniu. Jak zmieniła się gettowa rodzina w tych okresach?

M.F-P.: Chronologia jest najlepszą metodą opisaną sytuacji w getcie. Warunki pogarszały się w każdym z tych okresów. Stopniowe stygmatyzowanie i oddzielanie od reszty zestawie można z rosnącą rolą kobiet i pracą dzieci. Tak było w pierwszym okresie. Później zamknięcie, narastanie głodu. Cała rodzina angażowała się, walczyła o przeżycie, wszystkie osoby łącznie z dziećmi.

Dużo miejsca poświęca pani dzieciom. Jaka jest specyfika ich roli w gettovej rodzinie?

Starałam się pokazać, że dzieci w tym okresie stają się dorosłymi. Przyjmują role do której nie są gotowe, przejmują odpowiedzialność, doświadczają załamania rodziców, przyjmują ciężar, dzieci przejmują role rodziców.

Jak posługuje się Pani pojęciem trajektorii?

Mowa tutaj o trajektorii rodziny, która jest czymś pomiędzy trajektorią indywidualną a zbiorową. Nie chodzi o załamanie losu jednostki ani grupy, ale o coś pomiędzy. Deportacje i czas po deportacji to najtrudniejszy okres. Starałam się pokazać z jakimi uczuciami ludzie walczyli. Wiele miejsca poświęcam poczuciu winy, że nic nie udało się zrobić, że nie poszli z bliskimi na śmierć. Masowa żałoba funkcjonowała wtedy w innych kategoriach, śmierć bliskich nie robiła na nikim większego wrażenia.

Natalia Kusa (nagroda specjalna I stopnia im. Jacka Kuronia w Konkursie im. Jana Józefa Lipskiego)

autorka pracy

„Biała rewolucja” – Opozycja w Federacji Rosyjskiej po wyborach do Dumy Państwowej w grudniu 2011 roku

przygotowanej pod kierunkiem dr. hab. Andrzeja Stelmacha i obronionej na Wydziale Nauk Politycznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

T.Ż.: Co zdarzyło się w Rosji po wyborach do dumy w 2011 roku?

N.K.: W 2011 roku odbyły się w Federacji Rosyjskiej wybory do Dumy Państwowej. I to one, a w sumie fałszerstwa, były bezpośrednim impulsem do wyjścia Rosjan na ulice, po raz pierwszy od pierestrojki. Minęło 20 lat totalnego uśpienia. Manifestacje dały początek ruchowi na rzecz społeczeństwa obywatelskiego, który wyrażał sprzeciw wobec systemu na ulicach i placach.

Jak wyglądało zderzenie owego ruchu społecznego z rosyjskim systemem politycznym?

Setki ludzi, którzy wyszli na ulice, zakładało później partie, organizacje, grupy nieformalne. Z czasem coraz bardziej nieformalne ze względu na obowiązujące prawo. Powstały ruchy w przestrzeni kultury, nie tylko Pussy Riot. Były koncerty, grupy wspierające protestujących. Protestowała nie tylko klasa średnia, ale też prekariat, pracujący biedni. Nowe było wykorzystanie technologii, mediów społecznościowych, jak we wszystkich kolorowych rewolucjach pierwszej dekady wieku. Dzięki sieci istnieje nieformalna opozycja.

Co składa się na rosyjskie społeczeństwo opozycyjne?

100 partii opozycyjnych, powstałych w chwili liberalizacji prawa, nie ma żadnej siły przebicia, żadnej mocy. Zauważyć można, że ta liberalizacja jest pozorna, o czym świadczy ustawa o agentach zagranicznych. Mimo to istnieje wiele grup nieformalnych, których nie widać w przestrzeni publicznej, ale funkcjonują w sieci i w podziemiu, na przekór ustawodawstwu.

Jak w Polsce postrzegano wydarzenia roku 2011 w Rosji?

Po 4 grudnia w „Gazecie Wyborczej” i „Rzeczpospolitej” pojawiał się obraz jednostronny – obraz protestującej klasy średniej, która nie ma nic do stracenia i dlatego protestuje. Nie było słowa o innych grupach protestujących, które są prawdziwym trzonem rewolucji.

Arkadiusz Nyzio (nagroda I stopnia w Konkursie im. Jana Józefa Lipskiego)

autor pracy

Na straży demokracji. Publicystyka „Gazety Wyborczej” wobec autorytaryzmu, totalitaryzmu i zagrożeń demokracji

przygotowanej pod kierunkiem prof. dr. hab. Wiesława Kozub-Ciembroniewicza i obronionej na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego.

T.Ż.: Dlaczego warto zajmować się retoryką „Gazety Wyborczej”?

A.N.: Ponieważ „Gazeta” w wielkim stopniu przyczyniła się do ukształtowania głównego nurtu polskiego dyskursu publicznego oraz standardów polskiego dziennikarstwa. Z jej głosem można się nie zgadzać, nie można jednak przejść obok niego obojętnie. Niemożliwym jest zrozumienie polskiej polityki po 1989 roku bez uwzględnienia roli „Gazety”. Była ona ogromna zwłaszcza w latach 90. Za rzecz zdumiewającą i szkodliwą uznaję brak politologicznych i historycznych pozycji naukowych dotyczących polskich mediów, w tym „GW”.

Na czym „Gazeta” buduje swoją tożsamość i jak to się odbija w jej języku?

Moim zdaniem jej tożsamość wspiera się na trzech filarach. Po pierwsze, na przekonaniu, że spośród polskich mediów to właśnie ona w największym stopniu posiada wiedzę na temat tego, czym jest demokracja. Po drugie, na przeświadczeniu, że na jej barkach spoczywa odpowiedzialność za demokrację nad Wisłą. Po trzecie, na ambicji pełnienia funkcji pasa transmisyjnego szeroko rozumianych „demokratycznych wartości”.

Język „GW” ma dwa oblicza. Podniosłe, zarezerwowane dla „obrony demokracji” i związanych z nią wartości oraz codzienne, poświęcone bieżącym sprawom społeczno-politycznym, bogate w dowcip językowy, ironię i grę słów. Mnie oczywiście interesowało to pierwsze.

W jego ramach dziennikarze i publicyści „Gazety” często sięgają po argumenty moralne i etyczne, odwołują się też do „umiarkowania” oraz „zdrowego rozsądku”. Jeśli chodzi o środki stylistyczne, to charakterystyczne jest częste posługiwanie się metaforami, hiperbolami i pytaniami retorycznymi. Jeśli chodzi o techniki erystyczne, to dziennikarze i publicyści „GW” są pilnymi uczniami Schopenhauera. W kontekście retoryki „zagrożeń demokracji” należy zwrócić uwagę na zabiegi tzw. odwołania do autorytetów, ironicznej niekompetencji, nienawistnej kategorii pojęć i *reductio ad absurdum*.

Jakie są główne zagrożenia demokracji?

Demokracja przedstawiana jest przez „GW” jako kruchy skarb wymagający ciągłej troski. Jest moją tezą, że według niej demokracja – nie tylko w Polsce – jest zagrożona permanentnie. Dlatego właśnie potrzebni są zawsze czujni strażnicy.

Katalog zagrożeń identyfikowanych przez „Gazetę” jest bardzo szeroki i przez to trudno uchwytne. Tym bardziej, że choć jej dziennikarze i publicyści bardzo chętnie sięgają po pojęcia naukowe, to posługują się nimi dość frywolnie. Uogólniając, „Gazeta” obawia się przede wszystkim tzw. rządów twardej ręki w różnych odmianach i nacjonalizmu, przy czym ten ostatni jest traktowany jako pojęcie-klucz opisujące zbiorczo szowinizm, ksenofobię, antysemityzm, zaściankowość i antyeuropejskość. „GW” bardzo niechętnie odnosi się do opcji politycznych, które jej zdaniem albo posługują się tego rodzaju retoryką, albo zagospodarowują elektorat, któremu jest ona bliska.

Czy strategia przepowiedni, które mają zapobiegać swemu spełnieniu jest efektywna?

W wielu dziedzinach życia społecznego, np. w gospodarce – tak. W kontekście trwałości demokracji jest to pytanie kłopotliwe z metodologicznego punktu widzenia. Demokracja nie upadnie przez jednego polityka, jedną partię, czy jedną gazetę. Ani przez ich brak. Wywierają one oczywiście wpływ, słabszy i silniejszy, pozytywny i negatywny, ale kształt i trwałość ustroju jest funkcją bardzo wielu specyficznych czynników. Znaczenia „Gazety” dla polskiego wyobrażenia i akceptacji demokracji nie można oczywiście nie doceniać. Tyle tylko, że los demokracji rozstrzygnie się poza Polską, na przestrzeni wielu lat, jako kumulacja procesów społeczno-politycznych, na które nasz wpływ jest i będzie ograniczony.

Plany na przyszłość?

Na najbliższą: ukończenie doktoratu, wprowadzenie „Poliarchii”, redagowanego przeze mnie czasopisma naukowego, na listę czasopism punktowanych MNiSW i zdobycie upatrzzonego grantu. A na trochę dalszą: praca naukowa na uczelni.

Jeśli chodzi o badania, to w zeszłym roku ukazała się moja książka poświęcona Unii Demokratycznej, być może za kilka lat przyjdzie czas na zajęcie się którymś z konkurencyjnych środowisk politycznych. Coraz bardziej zajmuje mnie badanie polityki na poziomie lokalnym. Przymierzam się też do przygotowania pracy zbiorowej o „Gazecie Wyborczej”.

Chciałbym zadedykować tę nagrodę pamięci Pana Profesora Wiesława Kozub-Ciembroniewicza, wspaniałego człowieka i znakomitego znawcy problematyki totalitaryzmów. Pan Profesor był promotorem mojej pracy. Zmarł w lutym 2015 roku.